

N^o 2.

MĘDRZEC

KOMEDIA

W PIĘCIU AKTACH

ORYGINALNIE

PROZĄ NAPISANA

przez

Józefa Wybickiego.

WYDANA PRZEZ

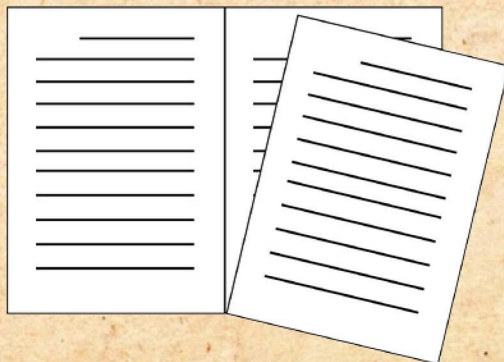
Edwarda Raczyńskiego.



w POZNANIU,

w Drukarni na Garbarach N^o 45.

1841.



W woluminie kolejno współprawne sygnatury:

110424 I /1

110424 I /2


I
110424



Biblioteka
Dra Jana Rymarkiewicza

~~ze Zgorzelia~~

z Gornania.

NB10R

DRAMATYKNI

EDWARD RACZYŃSKI

40

TEATR WARSZAWSKI

POZYWIA

EDWARD RACZYŃSKI

M. S.

W POZYWIA

W Warszawie, na Górnym, Nr. 45.

1890

ZBIÓR
DRAMATYCZNY
UŁOŻONY i WYDANY
dla
TEATRU AMATORÓW
W
POZNANIU.

przez
EDWARDA RACZYNSKIEGO.

N^o 2.

w **POZNANIU,**
w Drukarni na Garbarach N^o 45.

1844.

N^o 2.

MĘDRZEC

KOMEDIA

W PIĘCIU AKTACH

ORYGINALNIE

PROZĄ NAPISANA

przez

Józefa Wybickiego.

WYDANA PRZEZ

Edwarda Raczyńskiego.



w POZNANIU,

w Drukarni na Garbarach N^o 45.

1841.

IMPRIMATUR

Czwalina, Censor.

Posen, den 7. März 1841.

11424.5

OSOBY.

Domownicki, ojciec Julianny.

Domownicka, matka Julianny.

Julianna.

Górnogłębski, mędrzec.

Sąsiadowicz, przyjaciel Domownickiego.

Erast, synowiec Sąsiadowicza, kawaler Julianny.

Pani Krupska, sąsiadka.

Jadwiga, służąca Julianny.

Biegacz, sługa Górnogłębskiego.



Scena w domu Domownickich.

OSOBY

From the collection of the
Library of the University of
Chicago
The following is a list of the
names of the persons who
have been associated with
the University of Chicago
since its founding in 1890.
The names are arranged
alphabetically by last name.
The names of the persons
who have been associated
with the University of
Chicago since its founding
in 1890 are listed below.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

A K T I.

SCENA PIERWSZA.

B i e g a c z.

Bodaj to służyć u człowieka mądrego. Służyłem u żołnierza, co dzień batogi — u skąpego, ledwom z głodu nie umarł — u wdowy, głowę mi przekrzyczała — u gospodarza — nie dał i spać — u młodego panicza — siedziałem w kozie i ledwo do taczek nie przyszło. Jużem chciał świat porzucić; szczęściem nadarzył mi się mój pan terazniejszy. Nie wiem, czy on czarownik, czy to się zarazą dzieje; ale od tego czasu, jak u niego służę, zdaje mi się, że mi co dzień rozumu przybywa. Jeżeli to dłużej potrwa, podobno ja będę księgi pi-

sał. Ale, jak to księgi pisać, kiedy ja ani czytać, ani pisać nie umiem? Byleby chciał mój pan, on we wszystko potrafi. Albo to nie można naprzykład dyktować, ażeby drugi pisał, a ja mu będę powiadał. Cóż to ja mu będę powiadał? — Oto na-
przykład —

SCENA DRUGA.

Biegacz i Jadwiga.

J a d w i g a.

A ty tu co robisz?

B i e g a c z.

Książkę.

J a d w i g a.

Cóżto! w głowę zaszedł?

B i e g a c z.

Nie przeszkadzaj.

J a d w i g a.

Cóż się to znaczy?

B i e g a c z.

Oto to znaczy — że kiedy się na rzeczach nie znasz — a kiedy jesteś z ludźmi rozumnymi, to słuchaj. —

J a d w i g a.

Czy ty żartujesz?

B i e g a c z.

Nie żartuję. Wiesz, u kogo ja służę?

J a d w i g a.

Któż cię tam wie. —

B i e g a c z.

Od tego czasu, jakieśmy razem u owej wdowy służyli, od której i tyś poszła i jam uciekł, zwiedziłem świat, miałem wielu panów — teraz u takiego jestem — oj, gdybyś ty wiedziała, jaki to człowiek?

J a d w i g a.

Ślucham.

B i e g a c z.

On, kiedy zacznie gadać — jakże on pięknie gada! A wszystko coś — jako to — o gwiazdach — o słońcu — o powietrzu — Naprzykład, co to jest morze — a wiesz ty, co to jest wieloryb?

J a d w i g a.

A mnie tam co do tego. —

B i e g a c z.

Oj, żebyś ty wiedziała — jak to w morzu wieloryby — jak to Europa, Azya.

J a d w i g a.

Mój kochany, mnie ciebie żal.

B i e g a c z.

Mnie cię to żal, żeś prostaczka, że nie umiesz — nie wiesz o niczem, że —

J a d w i g a.

Dajże pokój tym bałamuctwom — powiedz — kto jest twój pan. —

B i e g a c z.

Jest to człowiek, nad którego człowieka niemasz rozumniejszego, większego, godniejszego, zacniejszego. —

J a d w i g a.

Niechżeć tak będzie — ale pociście tu z twoim Panem przyjechali?

B i e g a c z.

Piękne pytanie! Oto po to, żebysmy was widzieli.

J a d w i g a.

Jak to?

B i e g a c z.

Mój Pan twoją Panią, a ja ciebie zwyczajnie.

J a d w i g a.

Pewnieś to w książkach twoich wyczytał, że piękny zwyczaj!

B i e g a c z.

Czy w książkach, czy nie w książkach, dość, że Jejmość obiecała córkę swoją wydać za mojego Pana; a przez — konsekwencyą.

J a d w i g a.

Obejdzie się bez tej konsekwencyi — wiem ja, że Jejmość chce twego Pana z swoją córką ożenić, ale Jegomość niechce.

B i e g a c z.

Tem lepiej.

J a d w i g a.

Tem gorzej.

B i e g a c z.

A stałoż się u was co tak, jak Jegomość chciał?

7

J a d w i g a.

Nie stało — ale stanie.

B i e g a c z.

Moja kochanko — mnie ciebie żal, jak
to ty nie umiesz wnosić konsekwencyi —
Ale ty może i nie wiesz tego, co to jest
konsekwencya?

J a d w i g a.

Ej, co mnie tam z twojemi słowami,
tu idzie o rzecz, nie o słowa.

B i e g a c z.

O cóż tu idzie?

J a d w i g a.

O to, że twój Pan ani się Jegomości,
ani Pannie, ani krewnym, ani przyjaciółom
wcale nie podoba, i tybyś sam powinien
perswadować twojemu Panu, żeby odstąpił
dobrowolnie pretensyi, której choćby nako-
niec skutek otrzymał.

B i e g a c z.

I otrzyma zapewne.

J a d w i g a.

Choćby więc otrzymał, nie będzie szczęśliwym, i moją Panią uczyni nieszczęśliwą.

B i e g a c z.

A to jak?

J a d w i g a.

Oto tak — że ona go nigdy nie będzie kochać.

B i e g a c z.

Jak to męża nie kochać?

J a d w i g a.

Tak, jak się teraz zwyczajnie dzieje.

B i e g a c z.

Jak to nie kochać człowieka mądrego? —

J a d w i g a.

Można go szacować, poważać, i to, jeżeli wart, ale kochać? —

B i e g a c z.

Nie bój się, moja Panno, niech go tylko ona usłyszy, (a ja będę też przy nim,) to dopiero zobaczysz, jak to rzeczy pójdą, (odchodzi — wraca się) — ale, ale — a gdybym się ja też np. spytał, jak mam honor być w sercu W Panny Dobrodziejki —

J a d w i g a.

Jeżeli będziesz z Panem trzymał, tak tak będziesz u mnie, jak twój Pan u mojej Pani.

B i e g a c z.

To dobrze.

J a d w i g a.

To źle.

B i e g a c z.

Mylisz się WPanna.

J a d w i g a.

Mylisz się WPan.

B i e g a c z.

Oj, moja Panno, zobaczysz, że się ja nie pomyłę.

J a d w i g a.

Oj mój Mościwy panie, zobaczysz, że się pomylisz.

B i e g a c z.

Ale bo to ty na pamięć tylko gadasz, a gdybyś to tylko chciała wnijść w rzecz, jak się należy, i uważyc konsekwencye — to wielka szkoda, że ty nie wiesz, co to jest konsekwencya. —

J a d w i g a.

Co mi ty o tych twoich konsekwencyach gadasz. — Jużem ci powiedziała, że

ja tego ani umiem, ani chcę umieć. — Jużem ci powiedziała, że ja téj to waszój konkurencyi niechcę — a choćbym i chciała, to moja pani, to Jegomość.

B i e g a c z.

Jużem ci odpowiedział na to, co mi ty prawisz o ojcu i o pannie. Bądź ty tylko z nami, a obaczysz.

J a d w i g a.

Cóż obaczę? — pewnie twoje gwiazdy — wieloryba — Europę — Azją.

B i e g a c z.

A Wpanna widzę żartujesz. — A gdybyś wiedziała, naprzykład.

J a d w i g a.

Jużem ci powiedziała, i wręcz, że mnie temi andronami niezbalamucisz; postępuj sobie po prostu, nie pniéj się nieboże, tam, gdzie dosiędz nie możesz, a będę ci wierzyć. Rozumiesz?

B i e g a c z.

A pfe! po prostu — a wiesz ty, z kim gadasz?

J a d w i g a.

Z tobą. Coś przedtym tych bałamuctw nieznał, a teraz twój pan głowę ci zawrócił, i prawisz raz w raz, a wszystko nie do rzeczy. A jeżeli tego dłużej będzie, to cię porzucę — bo mnie już uszy bolą słuchać te bajki, co mi prawisz. Chcesz, żebym tobie odpowiadała, gadajże tak, jakieś pierwój gadał, inaczej. —

B i e g a c z.

Cóż inaczej?

J a d w i g a.

O to ani z tobą gadać — ani nawet na ciebie patrzeć nie będę.

B i e g a c z.

Kiedy tak, dobrze, składam na stronę mądrość — mówże teraz śmiało.

J a d w i g a.

Czy ty myślisz, że ja się ciebie boję?

B i e g a c z.

Nie boisz — ale przyznaj się, że masz jakiś wstręt — jakowys respekt — jakoweś poszanowanie, bo to na przykład. . .

J a d w i g a.

O ho! już ci się znowu we łbie kręci —
Bywaj zdrów. — (odchodzi.)

B i e g a c z. (zatrzymuje)

Stój — zaczekaj no — mówmy. —

J a d w i g a.

A nie będziesz znowu wpadał. —

B i e g a c z.

W co?

J a d w i g a.

A chcesz, żebym powiedziała?

B i e g a c z.

Mówmy o czem inszem — zaczynaj.

J a d w i g a.

Kiedysmy razem służyli u owój wdowy, pamiętasz, jakieś czynił starania, jakie przy-sługi, jakie grzeczności dla mnie?

B i e g a c z.

Pamiętam.

J a d w i g a.

Pamiętasz, wieleś razy oświadczał się, iż twoja największa chęć, największa ochota, największe szczęście, żebyś mi się podobał?

B i e g a c z.

Ja i teraz to mówię. —

J a d w i g a.

Ale ja temu nie wierzę. —

B i e g a c z.

Dla czegoż?

J a d w i g a.

Oto dla tego, iż gdybyś, jak powiadasz, był szczerze do mnie przywiązany, tobyś czynił to, co ja chcę. —

B i e g a c z.

Czegoż chcesz?

J a d w i g a.

Żebyś pana twego ztąd odprowadził, żebyś, jeżeli wyprowadzić nie możesz, przynajmniej odwiódł go od konkurencyi do pani mojej — (postrzega Julianę); ale widzę, przychodzi — idź ztąd. (Biegacz odchodzi.)

SCENA TRZECIA.

Juliana Jadwiga.

J a d w i g a.

Czemuż to Wpanna tak smutna? — to nie na Mością pannę, a osobliwie w tym wieku.

J u l i a n n a.

Zapewne, kiedy niema racyi. —

J a d w i g a.

Ale bo też częstokroć i sami sobie dawamy, bez żadnej potrzeby, przyczyny do smutku. —

J u l i a n n a.

Dziwuję ci się, moja kochana, że tak gadasz, jakbyś sama nie wiedziała, co mnie dolega. —

J a d w i g a.

Alboż to rzeczy zdesperowane. —

J u l i a n n a.

Przyjazd pana Górno-głębskiego zapewne będzie fatalny dla mnie — szacunek, który ku niemu powzięła matka moja, zaszkodzi Erasdowi. —

J a d w i g a.

W czymże?

J u l i a n n a.

Po cóż mnie wyciągasz na słowa? —
znasz jego do mnie przywiązanie, znasz
jego serce, jego przymioty, jego pocziwość.

J a d w i g a.

Ale, bo to. —

J u l i a n n a.

Cóż dalszego?

J a d w i g a.

Jak to powiadają, miłość, kiedy maluje,
podchlebia.

J u l i a n n a.

Może to być dla inszych. Mnie passya
nieuwodzi. Przywiązanie nasze wzajemne
nie naksztalt romansów. Pierwój zaczęłam
szacować, niżeli —

J a d w i g a.

Dokończ Wpanna. —

J u l i a n n a.

Niżeli — „ — Ale Jejmość. (Jadwiga odchodzi).

SCENA CZWARTA.

Domownicka i Julianna.

D o m o w n i c k a.

Jużem Waści dawniej powiedziała, że tu nie trzeba czasu darmo tracić. Czas, jak mówi Pan Górnogłębski, jest to sprawiacz ogólny — jest to wola czynności. Rozumiesz Waść.

J u l i a n n a.

Nie rozumiem, Mcia Dobrodziejko.

D o m o w n i c k a.

Co to za tępą imaginacya, pojęcie twarde; jak to znać, że się Waść dyskursom ludzi uczonych z pilnością nie przy-

śłuchujesz, i nie korzystasz z skarbu perfekcyi, który z takowych źródeł wypływa, dyskursu Pana Górnogłębskiego.

J u l i a n n a.

Ale jakże ja mam Mcia Dobrodziejko z nich profitować, kiedy ja ich nie mogę pojąć — gada niezrozumiale.

D o m o w n i c k a.

Nie mówi się gada, ale mówi.

J u l i a n n a.

To tedy mówi niezrozumiale.

D o m o w n i c k a.

Niezrozumiale dla tych, którzy jak Waść pojmować go nie chcą. Wiem ja dobrze, Mościa Panno, co to się święci. Pod pozorem niby to niewiomości, kiedy tego potrzeba, masz Waść dowcipu aż nadto. Znam się ja na tem, Mcia Panno. Nie do-

każesz Waśc tego, a powinnaś Waśc pamiętać, że za wolą rodziców trzeba iść oślepić.

J u l i a n n a.

To moja powinność.

D o m o w n i c k a.

Jeżeli więc sama Waśc o tem jesteś przeświadczona, powinnaś tak zapatrywać się na Górno-głębskiego, jako na tego, którego ja Waści obrała.

Julianna (do nóg matce).

Ach, nie kończ WPani Dobrodziejko!

Domownicka (z zadziwieniem).

Cóż to się znaczy, Mścia Panno? taka to Waścina powolność? — taki respekt ku starszym? — taka pamięć tego, co Waśc dopiero wyrzekła? Słuchaj Waśc, co mówię, a mówię ostatni raz — dziś jeszcze Gór-

no-głębski będzie twoim mężem — bo ja tak chcę — (odchodzi).

SCENA PIĄTA.

Julianna (sama).

Tego tylko nieszczęściu memu nie dostawało, żeby jeszcze dziś skutek wzięło — Erascie! — ale rodziców słuchać trzeba. Chcą ofiary — będą ją mieli — można usta przymusić do wyrzeczenia...

SCENA SZÓSTA.

Domownicki i Julianna.

Domownicki.

Niemasz tu Jejmości? — ale cóż to widzę, masz oczy zapłakane.

Julianna.

To nic, Mości Dobrodzieju — głowa mnie trochę boli. —

Domownicy.

Pan Sasiadowicz przyjechał z synowcem swoim; późno powiedz matce, żeby przyszła do nas. (*Julianna odchodzi*).

SCENA SIODMA.

Domownicy (sam).

A czy się moja żona w tym jednym punkcie ze mną zgodzi. Synowiec Sasiadowicza i młody i rostopny i grzeczny i bogaty; wcale dobra partya dla naszej córki. Znają się i dawno, i jak widzę ona niema wstrętu. Matka też lubi rozumnych ludzi, a ten młody kawaler znać, że miał bardzo dobrą edukacją, bo pięknie o rzeczach mówi — Nadzieja w panu Bogu, że dobrze rzeczy pojda. —

SCENA OSMĄ.

Domownicki, Domownicka.*Domownicka.*

Dla Boga Mospanie, trzeba też to mieć
względ jakiśkolwiek na mnie. Ledwom co
zasiadła w bibliotece nad ułożeniem Sfery,
a Wpan zaraz po mnie przysyłasz. Jużem
była Ekwatora osadziła. Czegoż tam Wpan
odemnie chcesz. Ale proszę niebawić.

Domownicki.

Oto moja panno! przyjechali goście.

Domownicka.

To im dać wina.

Domownicki.

Alboż to oni po wino przyjechali.

Domownicka.

Po cóż?

Domownicki.

Po to, po co zwyczajnie przyjaciół do przyjaciela, sąsiad do sąsiada przyjeżdża, żeby się wspólnie ucieszyć, o interessach rozmówić.

Domownicka.

To im Wpan pošlij plenipotentą.

Domownicki.

Ale moja panno, to ludzie godni, nam równi.

Domownicka.

Ja im chłopstwa niezadaje.

Domownicki.

Proszę, żebyś Wpani chciała się z nimi obaczyć, przywitać i rozmówić przynajmniej przez pół godziny.

Domownicka.

O czymże ja mam z niemi mówić.

Domownicki.

Zwyczajnie, o rzeczach potocznych.

Domownicka.

O jarzynie — oziminie — konopiach.

— *Domownicki.*

A choćby i o tem; alboż to gospodarstwo rzeczą jest tak obelżywą, iżby o nim mówić nie można.

Domownicka.

Dajże mi Wpan pokój z temi swojemi konopiami i z tą oziminą.

Domownicki.

Żebyśmy jednak nie mieli téj jarzyny, téj oziminy, tych konopi, niebyłoby pieniędzy na Sfery i na Aequatora.

Domownicka.

Schowajże Wpan tę piękną dySSERTacyą dla Ichmościów, ja nie mam czasu. (odchodzi).

SCENA DZIEWIĄTA.

Domownicki (sam.)

Piękna to rzecz nauka, ale jednakowo
 wolalbym ja mieć w domu gospodynią niż
 filozofkę. Czy nieszczęście nadało tego
 Górno-głębskiego. Cóż czynić? — trzeba
 znosić; może moją powolnością tknięta,
 mojemi łagodnemi perswazyami skonwinko-
 wana, wróci się do dawnego sposobu życia.

SCENA DZIESIĄTA.

Sąsiadowicz, Domownicki.*Domownicki.*

Przepraszam, iż żona moja dotąd służyć
 Wpanu niemogła, kazalem jęj dać znać o
 łasce jego, nadejdzie niezabawem, ale trochę
 słaba, pozwolił Wpan, że jęj wczasu prze-
 rywać nie śmiem.

Sąsiadowicz.

Wiem ja o tem i dawno, kochany panie sąsiedzie, iż Wpan nie śmiesz — przerywać wczasu Jéjmościwego. Chwałę tę delikatność, buduję się wielce z tak uprzejmych attencyi.

Domownicki.

Tak to Mospanie, kto ma żonę, trzeba żeby ile możności przestrzegał jéj wczasu, wygody, zdrowia; pleć jest słaba, delikatna, lada fraszka może jéj zaszkodzić.

Sąsiadowicz.

Dobrze Wpan mówisz — lada fraszka — tak jest — lada fraszka.

Domownicki.

Wpanom nieżonatym te rzeczy zdają się być obojętne, pomniejsze; bo nie wchodzą w uwagę okoliczności i konsekwencyi, które ztąd mogą wynikać. — Ma prawda stan nasz niekiedy przykrości swoje (któż się bez nich obejdzie), ale i słodczy.

Sąsiadowicz.

Prawda — po pieprzu cukier się słodszy wydaje.

Domownik.

A choćby i tak było, nie sztuka to być cierpliwym, trzeba umieć i cierpieć.

Sąsiadowicz.

Zgoda. Ale porzuciwszy te moralne dysertacye, przystapmy do interessu. Synowiec mój z dawna obojgu Wpaństwu znajomy. Choć to moja krew, mogę jednak bez chluby powiedzieć, iż jest młodzian ze wszęch miar i uczciwy i przystojny. O substancyi Wpan wiesz, tem, co po mnie weźmie, nie za-
boży się. Jak sam mi powiedział, iż córka Wpana nie wzgardzi nim. Na cóż tu, kochany panie sąsiedzie, długich korowodów, rozmówcie się, naradzcie się, jeżeli się mój synowiec podoba, powiedźcie szczerze, jeżeli nie — i tego nie tajcie. — Ani ja, ani on nie będziemy tego mieć za złe i owszem będzie to znakiem łaski Wpaństwa i dobrego

serca, kiedy w prędkim a jawnym odmowie-
niu, gdybyście téj konkurencyi sobie nie
życzyli, chcieli też nam oszczędzić nie po-
trzebnych zabiegów. —

D o m o w n i c k i.

Już to my nie dzisiejsi, mój dobry przy-
jacielu, zrosliśmy z sobą, razem chodziliśmy
do szkół, razem wyszliśmy na świat, żyjemy
w sąsiedztwie; więc między nami nie po-
trzeba żadnych ceremonii. Jakeś mi więc
wyjaśnił intencye swoje i synowca — szczerze
i bez ogródki, tak i ja na nie odpowiadam,
iż Erast podobał mi się i chcę go mieć zię-
ciem. Z żoną o tem jeszcze nie mówiłem,
ale spodziewam się, iż skoro córka kawa-
lerowi sprzyja, matka na moim zdaniu prze-
stanie. —

S ą s i a d o w i c z.

A ja się boję. —

D o m o w n i c k i.

Dla czegoż ta bojaźń?

Sąsiadowicz.
Oto dla tego, iż dość mężowi chcieć
biało, żeby żona chciała czarno.

Domownik.

Zwyczajny to zarzut na białogłowy sta-
rych młodzieńców; mścicie się na nich za
to, że was nie chciały.

Sąsiadowicz.

Jakto, nie chciały — my ich nie chcieli.

Domownik.

Niech tam sobie będzie, jak chce — ja
się do zaczętego dyskursu wracam. Roz-
mówię się z żoną — pomiarkujemy spo-
sób myślenia córki, reszta do kawalera
należeeć będzie.



A K T II.

SCENA PIERWSZA.

Erast i Jadwiga.

E r a s t.

Czegoż się mam spodziewać?

J a d w i g a.

Żeby od nas rzecz zawisła, wszystkie-
go dobrego, ale to —

E r a s t.

Cóż za ale —

J a d w i g a.

Ale, bardzo zle, bardzo trudne do przewyciężenia. Jejmość upornie Górnogłębskiego trzyma, a u nas zwyczajnie Jejmość ma racya.

E r a s t.

A Jegomość?

J a d w i g a.

Jegomość? Ja nie wiem, dla czego on się tak zowie. Zwyczajnie, on dobrze myśli, dobrze mówi, dobrego chce — a Jejmość swoje jak robi, tak robi.

E r a s t.

Ale Julianna.

J a d w i g a.

Płacze.

E r a s t.

Mogęż być pewnym o jój sercu?

J a d w i g a.

Już ci by nie płakała.

E r a s t.

Ale to może pochodzi z inszej przyczyny.

J a d w i g a.

MPanie! kiedy się Pannie kawaler trafia, a Panna płacze; można się natenczas pewnie założyć, że inszego kocha.

E r a s t.

Dajmy to. Ale ten drugi teraz, czyli to ja?

J a d w i g a.

Jeszcześmy oprócz W Pana i Górno-głębskiego, trzeciego tu nie mieli. Dobrze to mówią, że u amantów zawsze się coś osobliwego w głowie roi. Wybacz W Pan, ale mi się zdaje, że W Pan sam sobie jakieś niepotrzebne imaginacye czynisz.

E r a s t.

Miłość iest trwożliwa, i dla tego —

J a d w i g a.

Nie trzeba jój wierzyć. —

E r a s t.

Krzywdę mi czynisz. —

J a d w i g a.

Ja prawdę W Panu mówię, bo bym chciała W Panu i Pani mojej usłużyć, a kiedy widzę, że sobie jakiemiś dziwaczными fantazyami głowę nabijacie W Państwo — to mnie to gniewa.

E r a s t.

Wybacz, może, że i z zbytecznej delikatności, z czułości ona pochodzi.

J a d w i g a.

MPanie, ja tych wykwentów nie rozumiem, gadaj W Pan po polsku.

E r a s t.

Nie słyszałaś tam co o mnie?

J a d w i g a.

Od kogo?

E r a s t.

Z ust twojej Pani.

J a d w i g a.

Cóż miałam slyszeć, dość to, com już WPanu powiedziała, że płacze.

E r a s t.

Powiedz jej, że i ja w równym z nią stanie jestem — powiedz, iż, jeżeli dłużej te nieszczęśliwe przeszkody wznawiać się i trwać będą, życie moje —

J a d w i g a.

Będiesz WPan zdrow, a nie baj nie do rzeczy. WPan rozumiesz, że ja Meluzyna, albo Banaluka — Poprzestań WPan tych tam swoich andronów miłosnych — a myśl, jak te rzeczy do skutku przywieść

— Jesteś WPan pewien o sercu mojej Pani — czegoż WPanu więcéj potrzeba?

E r a s t.

Dalby to Bóg — a tym czasem na dówód niewygasléj mojej wdzięczności

(daje jéj pieniądze).

J a d w i g a.

Prawda, jestem uboga. Ale nie wierz WPan, abym to, co czynię, czyniła dla jakiego mojego interessu, i owszem (oddaje pieniądze). Weź WPan to, coś mi dał, bo może będziesz rozumiał.

E r a s t.

Nie rozumiem ja nic złego o tobie, i owszem, na pokazanie, jak twoję cnotę szacuję, — proszę, przyjm wszystko, (oddaje worek z pieniędzmi).

J a d w i g a (bierze i chowa).

— Ale WPan nie rozumiéj, żeby to dla jakiego interessu.

E r a s t.

Bynajmniej. (odchodzi, wraca się).

Ale bądź mi pomocna — pamiętaj w okolicznościach zdarzających się.

J a d w i g a.

Niezapomnę — spuść się Wpan na mnie.
A nie rozumiej, żeby to — (Erast odchodzi).

SCENA DRUGA.

J a d w i g a.

Nie złe rzeczy idą — (trzęsie workiem)
— widzę pełny — zda się — Niespodziewałam się, żeby się to tak dobre okazyje trafiać mogły. — Żeby to jeszcze z swojej strony i Biegacz mógł co zyskać — żebralby się kapitalik, bo to affekty, dobreć one są — ale jednakowo to prawda, co ludzie mówią, że zła miłość o głodzie.

SCENA TRZECIA.

Domownicki, Jadwiga.*Domownicki.*

Gdzie jest moja córka?

Jadwiga.

Jest u siebie.

Domownicki.

A Jejmość.

Jadwiga.

I Jejmość u siebie.

Domownicki.

Ale co robi?

Jadwiga.

Albo ja wiem. —

Domownicki.

Ale gdzie jest?

Jadwiga.

A jużem powiedziała, że u siebie.

Domownicki.

Ale gdzie u siebie?

Jadwiga.

Zwyczajnie w bibliotece.

Domownicki.

Sama?

Jadwiga.

Zwyczajnie z panem Górnogłębskim.

Domownicki.

Cóż tam robi?

Jadwiga.

Przyszłam tam i zastałam, że kręcili jakieś kółka. — Kazala mi trzymać objęcie jakieś mosiężne — potem kazala sobie podać pióro, kałamarz i papier — i rachowała.

Domownicki.

Co rachowała?

Jadwiga.

Jużci — podobno kółka.

Domownicki.

Cóż dalej? —

Jadwiga.

Oto wywróciłam niechący kałamarz i wypchnęła mnie z izby.

Domownicki.

Powiedzże jej, że goście czekają — a i pan Górnogłębski do nas przyszedł.

(Jadwiga odchodzi.)

SCENA CZWARTA.

Domownicki (sam).

Pewno przyjdzie, kiedy już Górnogłębskiego w kompanii mamy. — Bógdaj on był w domu moim nigdy niepostał.

SCENA PIĄTA.

Domownicki, Domownicka.*Domownicka.*

Gdziesz są ci Wpana Ichmościowie.

Domownicki.

Zestawiłem ich w ogrodzie — mają tu
zaraz przyjść. Proszę Wpani, bądźże im
rada — i racz dobrze przyjąć.

Domownicka.

Zdaje mi się, iż jeszcze nikogo nie
wypędziła z domu Wpana.

SCENA SZÓSTA.

**Domownicki, Domownicka,
Sąsiadowicz, Erast.***Sąsiadowicz* (do Domownickiej).

Cieszę się z polepszenia zdrowia Wpani
Dobrodziejki.

Domownicka.

Obligowana jestem Wpanu, ale

Domownicki.

Troche była słaba.

Domownicka.

Niepamiętam, żeby

Domownicki.

Zapewne lepiej już o tym i nie pamiętać. —

Domownicka.

Ale po cóż zapominać, kiedy — i nawet od dawnego czasu.

Domownicki.

Tak jest od dawnego czasu żona moja.

Domownicka.

Ja niewiem, jak to można, zdrową będąc.

D o m o w n i c k i.

Zdrową będąc, zapewne lepiej o tym,
co przedtym było.

D o m o w n i c k a (do męża).

Ale proszę mi dać mówić.

Domownicki (do żony).

Jam to był namieniał Jegomości, iż dla
słabości zdrowia potrzebowałaś Wpani wezasu
i dla tego. —

D o m o w n i c k a.

I cóż dla tego?

S a s i a d o w i c z.

Mcia Dobrodziejko! tym lepiej, że w do-
brym zdrowiu widzimy Wpanią Dobro-
dziejkę. Teraz raczysz pozwolić, żebym
miał honor z dawną zaszczycającego się
łaskawem przyjęciem synowca mojego pre-
zentować.

Domownicka.

Miałam honor widzieć Jegomości.

E r a s t.

Pożądana wielce jest dla mnie każda takowa okoliczność, kiedy mogę ponowić należyte oświadczenia respektu mojego.

Domownicka.

Mci Panie! to się na peryod nadto długi zanosi. — WPan od tego czasu. jak tu bywałeś u nas, podobno jeździleś za granicę.

E r a s t.

W kraju zostawałem Mścia Dobrodziejko.

Domownicka.

A czemuż to WPan nie raczyłeś przestać za granicę.

E r a s t.

Nie było w tem woli starszych moich.

Domownicka.

Tem gorzej.

Sąsiadowicz.

Mamy szkoły i w kraju, w nich to synowiec mój.

Domownicka.

Winszuję synowcowi WPana, ale syn mój, gdybym go miała, w nichby nie postał.

Sąsiadowicz.

Opacznie ktoś to udał przed WPanią, publiczne Szkoły — po wszystkie wieki. —

Domownicka.

Winszuję im starożytności, ale to nie jest przyczyną, ażeby ich użyteczność miała przyznać. —

Domownicki.

Ale mnie się zdaje, iż dawnymi czasy.

Domownicka.

Mci panie, co było dawniej, było źle.

Sąsiadowicz.

Ale któż to te rzeczy tak ogólnie osądził?

Domownicka.

Oczewistość — i zdrowy rozum, — a jeżeli o sędziego idzie, oto (pokazuje przychodzącego Gornogłębskiego.): nie uprzedzony, nie gminny, bez przesądu, bez akceptacyi. —

SCENA SIODMA.**Ciż sami i Gornogłębski.**

Gornogłębski (z modestą i affektacją.)

Nie sędzia, — pomocnik — współ-myślnik — wzajemno-dzielca. —

Sąsiadowicz.

I doskonały i pokorny, to sprzężaj rzadka.

Gornogłębski.

Rodzaj poziomy sługa jest przesądu.

E r a s t.

Masz nas WPan powolnych, teraz tylko należy. —

Gornogłębski.

Cóż takowego? —

E r a s t.

Należy komunikować.

Domownicka.

To nie własność języka, wyraz zagraniczny, pożyczane brzmienie.

Gornogłębski.

Użyczyć.

E r a s t.

Należy tedy użyczyć rodzajowi ludzkiemu.

Gornogłębski. (uśmiechając się.)

Ludzkiemu?

Sąsiadowicz.

A już ci, jakże go zwać.

Gornogłębski. (niektórzy — reszta.)

Sprężyniste tworzydła.

Sąsiadowicz.

A o czym że to WPan mówisz.

Gornogłębski (uśmiechając się.)

Są to może technicyzmy, nie dość tkliwości żądnej smakowite.

Sąsiadowicz.

Przyznam się WPanu, że wyraz zdaje mi się być nieco subtelny.

Gornogłębski.

Przecież przezeń iść trzeba, żeby zasłonę przedrzeć, mgłę rozrzedzić, i duchem bujać.

Domownicka.

Mowa, gdys WPan tu przyszedł, była o szkołach i w tymem się na sąd W Pana odwołała.

Gornogłębski.

Alboż o tem można dysputować!

Domownicka (na Erasta.)

Jegomość utrzymuje ich dobroć, ja pżeciwnie; W pana. —

Górnogłębski.

Czczość.

Domownicki.

Cóż WPan przez to rozumiesz?

Górnogłębski.

Rozumiem, iż to, co zacieśnia pojęcie; co lot umysłu tępi, co samotność czynności wewnętrznych czczo wysila, co jestestwo wzruszeń nadwereża, co nakoniec tkliwe prawidła wspacznie ujmuje; to wszystko niewarte nawet i roztrząśnienia. —

Domownicka. (do Sąsiadowicza.)

Widzisz WPan.

Sąsiadowicz.

Nic nie widzę, Mościa Dobrodziejko.

Górnogłębski.

Więc jaśniej mówię: Tam gdzie pobratymstwo i sklejność; to jest: konnexya albo sympatya. —

SCENA OSMĄ.

Ciż sami i Julianna.

Górnogłębski (do Julianny.)

Nie mogła być pożądanśza rozmowy naszej przerwa nad przybycie.

Julianna.

Jeżelim przeszkodziła, to odejdę.

Domownicka (do Julianny.)

Zostań Waść.

Górnogłębski (do Julianny.)

Opuszczone, cośmy mówili, nagrodziło to co widzimy, a gdyby wnijsć w zamian.

Julianna.

Ja się na handlu nieznam.

Górnogłębski.

Kruszec jest oznaką żądliwych pragnień, a tkliwość godnej siebie zdobyczy szuka.

Sąsiadowicz.

Bravo!

Domownicki.

Jako widzę, WPan naksztalt —

Górnogłębski.

Za pozwoleniem WPana, niepowinno się mówić na kształt, ale na wzór!

Domownicki.

Na wzór więc sławnych onych starożytności filozofów, WPan widzę bogactwy gardzisz.

Górnogłębski.

Są to przypadki — do jestestwa. —

Sąsiadowicz.

Bez których się jednak obejść nie można.

Górnogłębski (do Domownickiej)

Gminnym — rozkazałaś mi WPani Dob. przynieść ów skrypt.

Domownicka.

Ciekawa wielce będę czytać go. albo jeżeli WPan będziesz mi chciał tę łaskę uczynić.

Górnogłębski.

Z ochotą. — (odchodzą — i Julianna.)

SCENA DZIEWIĄTA.

Sąsiadowicz, Domownicki, Erast;

Sąsiadowicz.

Kiedyż WPan oznaczysz synowcowi mojemu czas łaskawej determinacyi. —

Domownicki.

Niezabawem — pozwolisz mi WPan tylko, iż na moment do żony mojej pójdę, i odezwę tę wielce mi miłą opowiem.



A K T III.

SCENA PIERWSZA.

Domownicka, Górnogłębski.

Domownicka.

To prawda, iż zdania przewyborne, a co mnie najbardziej rozrzewnia i ujmuje, jest ta świeżość myśli i wynalazków.

Górnogłębski.

Honor mi czynisz Wpani Dobr. łaskawem swoim przyświadczeniem.

Domownicka.

Jest to obowiązek wyznawać uczucia wewnętrzne umysłu, w ten czas gdy je

prawda postrzeżona, przez docieczenia mądrych pism lub rozmów obwieszcza.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Świat jak był tak i jest (lubo teraz trochę mniej) niewolnikiem przesądów i igrzyskiem błędu. Jeden z największych odłączył pleć niewieścią od dzieł celniejszych towarzystwa, to jest rządu, od poloru umysłu, to jest nauk. Jeżeli błędowi tak grubemu przyczynę jakową kłaść można, nie inną kłaść należy, tylko zazdrość mężczyzn, znających, iż im w podziale przymiot zwierzęcy, moc, a towarzyszkom subtelność dowcipu i bystrość pojęcia zostawione. Znosiła niesprawiedliwe jarzmo pleć damska, teraz gdy już ciężaru jego nieczuje, śmielęj się chwyta prawd wyższego stopnia, bo je bystrzej docieka, i tkliwiej czuje. Z tego więc powodu, chętniej im udzielamy wynalazków i odkryć dążących do uszczęśliwienia rodzaju ludzkiego.

Domownicka.

Imieniem plci mojej, zanoszę dzięki, za tak szacowne odkrycia, i upewniam, iż się niezawiodą ci, którzy przypuszczać nas raczą do społeczeństwa prac i usilności.

Górnogłębski.

Jakie mają być stopnie nauk? Poznanie siebie gruntem jest wszystkiego, pierwój wiedzieć należy, co jesteśmy, nim przystępować do poznania tego, co nas otacza. Człowiek składa się z duszy i ciała, trzeba żeby w pierwszym wstępie swoim wiedział, co to jest ciało, co to jest duch. Zaczynając więc od zmysłności, sędzę za rzecz najpotrzebniejszą od anatomii, to jest od poznania wszystkich części ludzkiego ciała, żył, artezyów, muskulów, kości etc. naukę zaczynać. Zabawna jest dosyć. Skeleta albowiem sprężynistym wzruszeniem zamiast lalek służyć mogą, a odkrycia jój będą wiodły młodzież ku ustrzeżeniu się szwanków

które się w tym wieku najczęściej przytrafiają, a choćby się i przytrafiały, sposób uratowania zaraz mieć będą na pogotowiu.

D o m o w n i c k a.

Prawda, iż ten sposób zaczynania nauk od anatomii jest wcale nowy i jak mogę pamiętać, w żadnym narodzie podobnego przykładu, ani mamy, aniśmy mieli.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Tym lepiej, Mcia Dobrodziejko — tym lepiej, że dzieło ma swoją originalność — raczysz sobie Wpani Dobrodziejka przywieść na pamięć, com położył za punkt pierwszy w prolegomenach — to jest

D o m o w n i c k a.

Rozumiem, co to znaczy — rozumiem.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Przystępując do drugiej części istotnej człowieka, a ta jest.

SCENA DRUGA.

Ciż sami, Jadwiga.

J a d w i g a.

Pani Krupska przyjechała.

D o m o w n i c k a.

Cóż to za nieznosna importuna — (do Jadwigi) gdzież jest?

J a d w i g a.

W pierwszej izbie.

D o m o w n i c k a.

Proszę jęj tu (Jadwiga odchodzi).

G ó r n o g ł ę b s k i.

Ja tym czasem za pozwoleniem Wpami
Dobr. pojędę do biblioteki. (odchodzi).

SCENA TRZECIA.

Pani Krupska, Domownicka.*K r u p s k a.*

Jakże mi się masz, moja pani kochana,
już to wiek, jakieśmy się z sobą niewidziały.

D o m o w n i c k a.

Prawda, iż od dawna niemiałam tego
honoru.

K r u p s k a.

Nie prawżę mi moja pani kochana o tych
honorach, to styl Warszawski, u nas na
wsi obejdzie się bez tych ceremonii.

D o m o w n i c k a.

Grzeczność wszędzie zaletna.

K r u p s k a.

Niechże i tak będzie. Cóż tu u was
słychać.

D o m o w n i c k a.

Nam ci się to pytać, niedawnoś Wpani
powróciła z Warszawy.

K r u p s k a.

Niewielem się tam nauczyła, bom i bawiła krótko, i interessa wszystek mi czas zabrały.

D o m o w n i c k a

Alboż to do stołecznego miasta dla interressu się jedzie.

K r u p s k a.

A po cóż tam innego jeździć. —

D o m o w n i c k a.

Dla zabawy. —

K r u p s k a.

Ja w domu nie tęsknię.

D o m o w n i c k a.

Może to być wszystko.

K r u p s k a.

Jest z łaski Pana Boga.

D o m o w n i c k a.

Ale to jedno drugiemu nie przeszkadza,

można i na wsi nie tęsknić, i w mieście się bawić.

K r u p s k a.

Tylko to jedno drugiemu przeszkadza, moja pani, iż na wsi bez kosztu można nie tęsknić, a w mieście bardzo drogo trzeba zabawki opłacić.

D o m o w n i c k a.

Ale też zabawy miejskie mile są, rozmaite, wspaniałe, a w rodzajach swoich wielorakich nie tylko rozrywają i bawią, ale i uczą. — Naprzykład teatru. — A propos teatrów. byłaś WPani na jakich reprezentacjach? —

K r u p s k a.

Nie chcąc wyjść za prostaczkę, dałam się namówić.

D o m o w n i c k a.

Jakże się podobało? —

K r u p s k a

Przyznam się WPani, że mi te kilka godzin czasu bardzo mile zeszły, a tylem się naśmiała. —

D o m o w n i c k a.

To szkoda. —

K r u p s k a.

Jakto szkoda? — żem ja się naśmiała, a czy może być co pożądanszego jak wesołość.

D o m o w n i c k a.

Nie dałaś mi WPani dokończyć. Chciałam mówić, iż to szkoda, żeś WPani nie trafiła na jaką dramę.

K r u p s k a.

Cóż to ta drama. —

D o m o w n i c k a.

Jest to rodzaj pośredniczy między kome-
dyą a tragedją.

K r u p s k a.

A śmieją się tam? —

D o m o w n i c k a.

Placzą. —

K r u p s k a.

Niechże sobie placzą, kiedy im się płakać chce, ja moja kochana Pani ze śmiechem trzymam. Tobym ja miała za to dawać pieniądze, żeby płakała, — a jabym woląa za to płacić, żeby nie płakać.

D o m o w n i c k a.

Ale bo to rzewność słodka, pochodząca z wzruszeń wewnętrznych.

K r u p s k a.

Choćby tam sobie była i najśłodsza, ja się żadnym żywym sposobem niechę turbować; albo to i oprócz tego niemasz dość biedy na świecie, żeby jeszcze płacić za turbaczą.

D o m o w n i c k a. (na boku.)

Co za podły sposób myślenia — a urodzaje jakie też tam?

K r u p s k a.

Nie złe — [z łaski Pana Boga. — Jak też wiele u państwa kopa tego roku wydaje korcy.

D o m o w n i c k a.

Jeżeli WPani ciekawa, każe zawołać ekonoma. —

K r u p s k a.

Alboż to o tem moja pani niewiesz?

D o m o w n i c k a.

A cóżto ma być do podziwienia, są od tego ludzie, którym się płaci. —

K r u p s k a.

Ale ja pamiętam, żeś dawniej o tem WPani wiedziała, i dobrze wiedziała. —

Domownicka.

Są różne rodzaje zabaw, są też i gusta.

SCENA CZWARTA.

Domownicka, Krupska, Domownicki.

Domownicka (do męża).

Właśnieś tu WPan a propos. — Jejmość pytała mnie się — o czymże to WPani pytałaś się, coś to było podobno o kopach, — wszak prawda Mścia Dobr.

Krupska.

O dramach. —

Domownicki.

Zgódźcież się moje panie, żebym wiedział, na co odpowiedzieć. —

D o m o w n i c k a.

Za pozwoleniem — zaraz będę służyć.
 — (odchodzi.)

SCENA PIĄTA.

Domownicki, Krupska.

K r u p s k a.

Mój Mści Panie, proszę mi wytłómaczyć
 co to się tu u W Pana dzieje. — Żona pań-
 ska zaczęła mi tu prawić o jakichś we-
 wnętrzych wzruszeniach, łzach rozkosznych,
 dramach. — Zkądże to poszło?

D o m o w n i c k i. —

Nieszczęście a nieszczęście nieprzewi-
 dziane przyniosło mi w dom mędrka, nieja-
 kiego P. Górnogłębskiego; zobaczysz go tu
 W Pani i poznasz, co za człowiek, ten wszy-
 stkiego złego przyczyna. — Ale suplikuję,
 zaklinam, nieracz W Pani.

K r u p s k a.

Gdyby rzecz, jak sameś WP. powiedział niebyła widoczna, trzymałabym sekret nieprzełamany. Teraz wchodzę w przyczyny ze wszech miar chwalebne delikatności WPana, i tak będę mu się starała przysłużyć, iżby to było i bez narażenia się Jéjmości, i skutkiem pożądanym. —

D o m o w n i c k i.

Poznaję w wyrazach WPani jéj serce, dalby to Pan Bóg.

K r u p s k a.

Spuść no się WPan na mnie, choć to ja MPanie nie filozofka, znam się nie źle na ludziach. —

D o m o w n i c k i.

Niewiem, czy wiesz WPani intencją P. Sąsiadowicza.

K r u p s k a.

Wiem. i

Domownicki.

Żona moja zupełnie przeciwna jest temu.

Krupska.

A WPan to nie mąż? naucz się WPan odemnie, choć to od kobiety, że względy dla żon, dobre są i przyzwoite, ale kiedy ich nadto, natenczas jedno ze dwóch być musi: albo żona więcej niż białogłowa, albo mąż mniej niż mężczyzna. Pomyśl no WPan nad tem. (odchodzi.)

SCENA SZÓSTA.

Domownicki (sam.)

Tak to się zawsze zdaje, którzy w głąb rzeczy niewchodzą. — Powolność moja nie z słabości, ale z rozsądku i uwagi pochodzi; a mają mnie za słabego, przecież ja w spódnicy nie chodzę. . . . Może trzeba będzie i odmienić sposób postępowania, ale się jeszcze nie będę spieszył, obaczę pierwój, jak rzeczy pójdą.

A K T IV.

SCENA PIERWSZA.

Domownicki, Sąsiadowicz.

Sąsiadowicz.

Szkoda mówić, ale ten pan Górnogłębski bardzo coś wysoko, głęboko.

Domownicki.

A nie do rzeczy.

Sąsiadowicz.

Miałem to i ja na języku, ale kiedyś mnie Wpan uprzedził, zgadzam się zupełnie z zdaniem jego. Zdało się dotąd, iż pleć niewiescia zatopiona w fraszkach, wolna będzie od zarazy mądrości. Zawiedliśmy

się; jak na nieszczęście weszła teraz i u nich w modę, od blondynów za jednym razem skoczyły aż do metafizyki.

Domownik.

Już ci im nauki bronić nie można.

Sąsiadowicz.

A kto im broni -- niech się cieszą -- niech czytają, niech piszą; ale niech niechodzą po rozum do takich nauczycieli i mistrzów, co to, pomazawszy sobie język niektórymi uczonemi terminami, bez aplikacyi, bez nauki, prawią śmiało, a wciąż rzeczy takie, na które nie odpowiadać, ale ramionami tylko wzruszać należy. Cytują ci Ichmościowie to, czego ani czytali, obwieszczają, czego niemasz, a wszystko to-
nem jakimś gornym, wspaniałym, wyrazami dzikiemi, miną poważną.

Domownik.

Jawneć to są i ledwo nie codzienne widowiska.

Sąsiadowicz.

Wracając się do naszego mędrca, czyżby to niemożna wynaleść jakiego sposobu, przez któryby można Jejmość odwieść od téj zbyt dobrej opinii o panu Górnogłębskim.

D o m o w n i c k i.

Ciężko bardzo! używałem do tego wielu sposobów, nie były skuteczne.

Sąsiadowicz.

A gdyby na przykład mój pan siostrzeniec, który wiele czytał, wdał się z nim w przytomności żony W pana w rozmowę, i jawnie wypróbował powierzchowną tylko naukę jego.

D o m o w n i c k i.

Nic łatwiejszego, jak racyami mędrka pokonać, ale przegadać trudno.

Sąsiadowicz.

Erast wymowny.

D o m o w n i c k i.

Kiedyż kto głupiego przeparał.

S a s i a d o w i c z.

Żeby tak było jak Wpan mówisz, trzebaby o głupich zdesperować; przecież widziemy, iż niekiedy przestają na zdaniu rozumniejszych od siebie i dają się oświecić. Racz Wpan i Jejmości wystawić Górno-głębskiego w prawdziwym świetle, czego tym większą bydz potrzebę widzę, ile iż mi się zdaje, iż względem niego, może mieć takowe projekta, które i żądaniom siostrzeńca mojego przeciwne, i zapewne samemu Wpanu przykre. Jeżeli więc tak jest, jak ja mniemam, powiedz jój Wpan wzręcz, iż ten człowiek, choćby też i prawdziwie uczony, nie jest w takowym stanie, iżby mógł pretendować bydz jój zięciem; niewątpię iż swoją doskonałością, grzecznością, łagodnością, powolnością przeprzesz jój upor i mego siostrzeńca uszczęśliwisz.

Domownicy.

Z tego, co od Wpana słyszę, nie jest mi trudno domyślić się, iż umieszczony od niego jestem w liczbie tych mężów, co to tylko z tytułu są Jegomościami. Powierzchność, prawda, zdaje się być przeciwko mnie, ale gdybyś chciał mój kochany przyjacielu pilnie w to wejrzeć; gdybyś czuł, jak to drogo spokojność, a zwłaszcza w stanie małżeńskim, kupować trzeba.

Sąsiadowicz.

Na ten czas umiałbym tak rzeczy zgodzić, iż miałbym w domu pokój, a moja Jejmość, znalazby to, choćby i przykro jej było, iż do męża rząd należy, a żonie powolność przystoi.

Domownicy.

Łatwo się to mówi.

Sąsiadowicz.

I czyni, kiedy się rzeczy raz dobrze zaczną.

D o m o w n i c k i.

Jużem Wpanu powiedział, że każdy stan musi mieć swoje przykrości.

S q s i a d o w i c z.

Jużem ja Wpanu na to odpowiedział, a teraz dodaję, iż nie trzeba na przykrość narzekać, w ten czas, kiedyśmy sami winni. Jeśli się zaczęło, trzeba błąd poprawić i dać nakoniec uczuć.

D o m o w n i c k i.

To gwałtowne kroki.

S q s i a d o w i c z.

Kiedy łagodność nie pomoże, to na ten czas trzeba się udawać.

D o m o w n i c k i.

Czas — cierpliwość.

S q s i a d o w i c z (z żywością).

Cierpże mój Dobrodzieju — nieprzeszkadzam (odchodzi).

SCENA DRUGA.

Domownicki (sam).

Dobrze to rezonować, kiedy nie dolega.
— Niechżeby był w moim stanie -- odmien-
iłby ton -- Ale

SCENA TRZECIA.

Domownicki, Domownicka.

Domownicka.

Mci panie! kiedy idzie o rzeczy ważne,
jako naprzykład o postanowienie, a przeto
los dzieci, trzeba się wprzód nadtym za-
stanowić, i gruntownie rzecz roztrząsnąć.

Domownicki.

Zapewne, od tego ich uszczęśliwienie
zawisło, krok ten delikatny.

Domownicka.

Nie przeszkadzajże mi Wpan.

Domownicki.

Słucham.

Domownicka.

Myslałam ja o tym i nieraz, i po głę-
bokiej, a nieraz powtorzonej uwadze, je-
stem determinowana, i tak rozumiem, iż
Wpan sprawiedliwym moim konsyderacyom
nie będziesz się sprzeciwiał.

Domownicki.

Zapewne, jeżeli będą sprawiedliwe.

Domownicka.

Jak to? Albo to Wpan powatpiwasz o
moim.

Domownicki.

Niepowatpiwam. Ale to czasem trafić
się może.

Domownicka.

Cóż to takiego trafić się może.

Domownicki.

Oto ja mówię, iż czasem trafić się może,
chociaż.

Domownicka.

Proszę się wytłumaczyć.

Domownicki.

Mówilem, iż trafia się, że chociaż rzecz nam zda się być dobra, może być w istocie.

Domownicka.

Pewnie zła.

Domownicki.

Może i tak bydz.

Domownicka.

Dziękuję za dobrą opinią, o moim zdaniu i rozsądku. Jeszcześ Wpan nie słyszał, co mam mówić, a już tym obligującym wielce komplementem zaczynasz według chwalebnego wielce zwyczaju swojego.

Domownicki.

Ale Mcia pani, pocóż to się urazać; to, com mówił, ściaga się do rzeczy ogólnych. Wyraz był w powszechności.

Domownicka.

Wiem ja, co on w szczególności znaczy.
Wpan, niewiem wcale dla jakiej przyczyny,
zawziales się na pana Górnogłębskiego.

Domownicki.

Jeszcze o nim wzmianki niebyło.

Domownicka.

Jakbyś to Wpan o tym niewiedział, do
czego mój dyskurs zmierza. Niemam czasu
dłużej bawić, oznajmuję więc Wpanu w krótkości słów, iż postanowiłam wydać za pana
Górnogłębskiego moją córkę.

Domownicki.

Wszak jest i moja.

Domownicka.

A już ci.

Domownicki.

Więc i mnie o jej postanowieniu myśleć
należy.

Domownicka.

A kto Wpanu przeszkadza? . . .

Domownicki.

Wpani?

Domownicka.

Ja?

Domownicki.

Wpani sama.

Domownicka.

W czymże to?

Domownicki.

Oto w tym, że rezolucya Wpani nadto jest spieszna; żeś niedobrze jeszcze poznała osobę, którą wybierasz, że się lepsza partya trafić może, że nakoniec między małżeństwem w takowych okolicznościach niepowinna być z jednej strony rezolucya, póki się druga na to niezgodzi.

Domownicka.

Obeszło by się bez odpowiedzi na takowe zarzuty; uczynię ją jednak, kiedy jak

widzę Wpan koniecznie tego wymagasz. Rezolucya nie jest spieszna, kiedy po głębokiej uwadze. — Kto umie ludzi poznawać, niepotrzeba mu do tego długiego czasu. — Niemoże się lepsza partya trafić nad człowieka doskonałego, a na koniec i między małżeństwem, kiedy żona ma racyą, nie szpeci to męża, że jęj usłucha. Kłaniam uniżenie.
(odchodzi).

SCENA CZWARTA.

Domownik (sam).

Piękny skutek filozofii? -- Argumenta zwięzłe. Już też mi i cierpliwości niestaje -- słuchać rady Sąsiadowicza, ale to sposoby gwałtowne; kto wie, może się tym jeszcze rzeczy pogorszą. — Z tym wszystkim już téj powolności podobno nad to — Poczekam jeszcze cokolwiek, a jeżeli —

SCENA PIĄTA.

**Domownicki, Julianna,
Jadwiga.**

Domownicki.

Masz jaki do mnie interess, moje dziecię.

Julianna.

Niemam żadnego Mci Dobrodzieju, przysłałam tylko —

Domownicki.

Chodźże, ja mam do ciebie — (do
Jadwigi) ustąp troche (Jadwiga odchodzi).

SCENA SZOSTA.

Domownicki i Julianna.

Domownicki.

Jużeś doszła tych lat, iż nam o two-
jém przyszłym postanowieniu myśleć trzeba.

Bądź o tem zapewniona, iż nigdy zdania twojego niewolić, ani powagi mojej ojcowskiej na twoje złe obracać nie chcę.

Juliana (pada mu do nóg).

Ach! najukochańszy ojcze.

Domownicki (podnosi ją.)

Wstań moje dziecko — a słuchaj mnie. Trafić ci się będą partye i może już są tacy, którzy i twojego i naszego zezwolenia czekają.

Juliana (przerywa mu).

Zmiluj się WPan Dobrodziój, nie daj się nakłonić na odezwę — jak słyszę.

Domownicki.

Ale to człowiek przystojny.

Juliana.

Nie sędzę nikogo, ale z tem wszystkiem --

Domownicki.

Cóż to masz przeciw niemu?

J u l i a n n a.

Wstręt nieprzewyciężony — będę ofiarą posłuszeństwa — ale mi ta ofiara życia odejmie. —

D o m o w n i c k i.

Ztem wszystkiem zdawało mi się do-
tąd, iż tego nie wydawała przynajmniej,
ażeby Erast —

Julianna (zmieszana).

To prawda, iż znam, być najistotniej-
szym obowiązkiem moim, być posłuszną
woli rodzicielskiej — . . .

D o m o w n i c k i.

No, moje dziecko — nie przewyciężaj
się — wolę ja uszczęśliwinie twoje, niż mo-
ję satysfakcją.

J u l i a n n a.

Skoro slysze, iż to jest satysfakcją
WPana Dobrodzieja, jest oraz i moją i
chętnie. —

D o m o w n i c k i.

To zbytek powolności, moje dziecko —
 broń Boże, żebym cię miał naglić — i o-
 wszem, idę do Pana Sąsiadowicza —
 (chce odchodzić).

Julianna (pada mu do nóg).

Zatrzymaj się W Pan Dobr.

D o m o w n i c k i.

Cóż to znaczy, moje dziecko! — ja po
 tobie ofiar nie wyciągam, — bądź tylko
 szczęśliwa, — mniejsza o moją satysfakcyą.

J u l i a n n a.

Ale, bo — ta —

D o m o w n i c k i.

Powiedz szczerze, co myślisz. — Otwórz
 mi szczerze serce twoje. — W tem wszyst-
 kiem albowiem, co widzę, co słyszę —
 musi być co takiego. —

J u l i a n n a.

Przezwyjężam wstręt naturalny.

D o m o w n i c k i.

Ale jużem ci powiedział, że ofiar i żadnego przewyciężenia od ciebie nie wyciągiam.

J u l i a n n a.

Niegodnam tych względów, z tem wszystkim, jak mi WPan Dobrodziej pozwolisz.

D o m o w n i c k i.

Ale któż ci broni.

SCENA SIODMA.

Cisz sami i Jadwiga.

J a d w i g a.

Już téż, choć mi WPan nie kazał, muszę przyjść, bo się widzę WPaństwo beze-
mnie nie zrozumiecie. Oto, Mści Dobrodzie-
ju, ja WPanu powiem wręcz, że Panna
Julianna —

Julianna (do Jadwigi na stronie).

Ale, co ty robisz — Zmiluj się —

J a d w i g a.

Szept WPanna jak chcesz, a ja jednakoż Jegomości powiem, — że WPanna Erasta ko —

Julianna (zatyka jój gębę).

Ale, do czegoż to znowu? —

J a d w i g a.

Nie wierz jój WPan — oto Erasta kocha, ja o tem wiem i przysięgam — że tak jest, a nie inaczej; rozumiała, że WP. mówisz o Górnogłębskim — i dla tego —

Domownicki (do Julianny).

Cóż na to mówisz?

J u l i a n n a.

Ale bo — MDobrodzieju — to prawda — iż mówić nie mogę — abym miała — bydz —

Domownik.

Już ja za ciebie dokonczę, iż Erastowi sprzyjasz, wszak prawda.

Julianna.

Kiedy w tem widzę wolę ojcowską, natenczas. —

Domownik.

Oszczędzam ci moje dziecię naturalnego wstępu, który.

Jadwiga.

Ale przysięgam Panu Bogu Mści Dobr. że nie ma wstępu. —

Domownik. (do Jadwigi.)

Niewyrywajże się; ja nie o tem mówię (do Julianny.) kontent jestem z tego, iż moja wola z twoją się zgadza — pójde więc.

Julianna.

Ale nie racz WPDobrodziej wspomnieć co o tem przed Jójmością.

Domownicy.

Spuść się na mnie moje dziecko, będzie to wszystko dobrze. (odchodzi.)

SCENA OSMĄ.*Jadwiga.*

Miał tu przyjść biegacz, a widzę go jeszcze niemasz. — Zaczekam, a obaczę, jeżeli go potrafię nakłonić na naszą stronę. — Ale ma pana mądrego, trudno go będzie oszukać; alboż to i mądrych nie oszukują. —

SCENA DZIEWIĄTĄ.***Jadwiga, Biegacz.****Biegacz.*

Cóż to WPanna takiego sama do siebie gadasz? —

Jadwiga.

Oto laję tych, co słowa niedotrzymują.

B i e g a c z.

Zapewne, że ich trzeba lajać i dobrze, kiedy słowa niedotrzymują, a nie mają żadnej słusznej przyczyny do exkuzy.

J a d w i g a.

Są to tacy, którym łatwo o exkuzę, bo są gotowi, sami skomponować, choćby jej i nie było.

B i e g a c z.

Łajmyż ich oboje. —

J a d w i g a.

Dajmy im teraz pokój, bo nie mam czasu. Pamiętasz, com ci ostatnią razą powiedziała, kiedyśmy tu z sobą gadali? —

B i e g a c z.

Każde twoje słowo na moim sercu tak jest wyryte, jak na —

J a d w i g a.

Przestańże tych balamuctw, jużem ci raz powiedziała, że ich nie lubię. — Jeżeli tego

będzie więcej, to kwita z przyjaźni — rozumiesz?

B i e g a c z.

Slucham tedy. —

J a d w i g a.

Tu nie trzeba słuchać, ale odpowiedzieć, kiedy się pytają. —

B i e g a c z.

Pytajże się pani moja, królowa moja, bogini. —

J a d w i g a.

Tobie widzę twój pan głowę zawrócił. —

B i e g a c z.

Oj! co nie pan, to nie pan. —

J a d w i g a.

A któż taki?

B i e g a c z.

A każesz powiedzieć? —

J a d w i g a.

Już nie powiadaj, bo wiem, że znowu co nic do izeczy wypleciesz. —

B i e g a c z.

Affekt serdeczny serca mojego. —

J a d w i g a.

Wzdychajże z swoim affektem, dopóki ci się podoba, ja nie mam czasu. (chce odchodzić.)

Biegacz (przytrzymuje).

Ale cóż to za niegrzeczność. —

J a d w i g a.

Ale co to za niedyskretya, za trzpiotostwo prawić androny, kiedy ja chcę, zebyś mi na moje pytanie odpowiadał.

B i e g a c z.

Już teraz odpowiem.

J a d w i g a.

Pytam cię, czyliś się starał odwieść pana od téj jego nieszczęśliwój konkurencyi.

B i e g a c z.

Jakto nieszczęśliwój?

J a d w i g a.

Zapewne że nieszczęśliwój, boby nigdy serca żony swojej niepozyskał. —

B i e g a c z.

Moja kochana, jaka żeś to prostaczka, albo to się teraz dla serca żenią?

J a d w i g a.

A już ci mnie się zdaje, że nie dla inszej przyczyny żenić się można, tylko żeby być szczęśliwym; a jak być szczęśliwym, kiedy się małżeństwo nie kocha. —

B i e g a c z.

A posag? —

J a d w i g a.

A taka to mądrość twego pana Górno-głębskiego?

B i e g a c z.

Zapewne że mądrość, — wszystko traszka na tym świecie, pieniądze grunt. —

J a d w i g a.

To i ty tak myślisz?

B i e g a c z.

Ja tak myślę, jak cały świat. —

J a d w i g a.

Pójdź ze sobie precz i z twoim światem, ja z takimi, co tak myślą, i gadać nie chcę.

B i e g a c z.

Nie gniewajże się, ja to ci tylko powiadam, co mówi mówi mój pan. —

J a d w i g a.

Gadałżeś z nim w naszym interessie.

B i e g a c z.

Nie jeszcze, bo od tego czasu, jakeśmy z sobą mówili, nie było go w stancyi.

J a d w i g a.

Jest teraz — widziałam go dopiero, jak wychodził od Jéjmości z biblioteki. Idźże do niego, rób, co możesz, a jeżeli dokazesz

tego, czego ja po tobie wyciągam, możesz być pewnym. —

B i e g a c z.

Ale co za pożądane słowa.

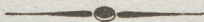
J a d w i g a.

Nie praw andronów, a biegaj. (biegacz odchodzi).

SCENA DZIESIĄTA.

J a d w i g a. (sama.)

Ja nadziei nie tracę, chociaż to nasza Jéjmość, co zechce, dokaże; przecież jakby mi coś do serca mówilo, zawzdy mi się здаje, że pan Górnogłębski kiedyśkowiek ztąd wyleci. — Ale — ale — a mnie już podobno Erast w ogrodzie czeka. — Co też ta miłość robi, nierazby mi się śmiać chciało z jego troskliwości, gdyby mi nie szło o moją panią, a do tego (trzęsie workiem) i to nie źle. —



A K T V.

SCENA PIERWSZA.
Górnogłębski, Biegacz.

Górnogłębski.

(siedzący stolec próżny koło niego).

Siadź bracie koło mnie.

Biegacz.

Ale Mci Dobrodzieju.

Górnogłębski.

Siadź Bracie.

Biegacz.

Ale ja sługa pański.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Pan -- sługa -- to wyrazy gminne.

B i e g a c z.

Ale mi Wpan placisz.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Ja się z tobą dzielę — (pokazuje stół).
Ale siadź, bracie.

B i e g a c z (siada).

Jezli tak, to zły podział — dajesz mi
Wpan na miesiąc dwanaście złotych, a sam
masz może kilkaset; Wpan w karmazynie,
a ja w falendyszu, Wpan jesz kuropatwy,
a ja rzepe.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Tak falendysz jako i karmazyn zarówno
okrywają człowieka, pieniądze czczość, a
rzepa zdrowsza niż kuropatwy.

B i e g a c z.

Jednakowo by ja wołał kuropatwy niż
rzepe, a mów Wpan, co cheesz, dobra to
jednak rzecz na tym świecie, pieniądze.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Nie dziwuję się, że gadasz podło, jeszcze twoje oczy w bilmie.

B i e g a c z.

O Mpanie, co nie w bilmie, to nie w bilmie; za pieniądze wszystkiego dostanie, a że Wpan masz na sobie karmazyn, siedzisz z panami wygodnie w ciepłej izbie, a my nieboracy w falendyszach musimy marznąć za drzwiami.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Nie odzież, ale co wewnątrz, jest człowieka istotą.

B i e g a c z.

A jednakowo starasz się Wpan, jak powiadają, o córkę pana Domownickiego, bo posag dobry.

G o r n o g ł ę b s k i.

Któż ci to powiedział, a choćbym się dał nakłonić do tej konkurencyi, nie posag

byłby moja w téj mierze pobudką. Dobre mienie, to przypadek, rozum treścią. Jeżeli więc konkurencyą oświadczę; chyba w tę nadzieję to uczynię, iż będę się mógł spodziewać, że córka wda się w matkę — i będzie miała względem mnie jój sentymenta.

B i e g a c z.

Jakże się Wpan mylisz.

G o r n o g l ę b s k i.

Jak to ty wiesz.

B i e g a c z.

Wiem i zapewne.

G ó r n o g l ę b s k i.

Od kogo?

B i e g a c z.

A na co Wpanu ta ciekawość?

G o r n o g l ę b s k i.

Trzeba, żebym o tym wiedział, idzie tu albowiem o rzecz wielkiej wagi, o moje uszczęśliwienie.

B i e g a c z.

Ale mnie Wpan niewydasz?

G ó r n o g ł ę b s k i.

Przyrzekam.

B i e g a c z.

Kiedy tak, to Wpanu powiem. Oto Jadwiga służąca Julianny, z którą ja, od dawnego czasu mam — zachowanie -- znajomość dobrą — konfidencyą.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Cóż tedy ta Jadwiga?

B i e g a c z.

O! jaki to Wpan niecierpliwy.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Dokończ — że

B i e g a c z.

Ta tedy Jadwiga, ale mnie Wpan niewydasz.

Górnogłębski.

Mówże — bo

Biegacz.

Bo co?

Górnogłębski.

Sluchajże, ja tej zbytecznej poufalości
nie lubię. —

Biegacz.

A wszak my bracia.

Górnogłębski.

Porzućże Waszeć te żarciki, bo ja tu
cię wnet nauczę, jakto gadać z panem.

Biegacz.

Pan, sługa, to wyrazy gminne.

Górnogłębski (porywa się).

A pókiż to tego będzie, hultaju.

Biegacz (na stronie).

A Mści Dobrodzieju, sameś WPan Do-

brodziój dopiero powiedział, że passye ludzkie — że to pospółstwo — że to bilmo — a wreszcie i pieniądze fraszka — i kuropatwy fraszka — i panna Julianna fraszka. —

G ó r n o g l ę b s k i.

Waszeci widzę chce się żartować, a ja nie jestem w humorze słuchać tych błazeństw. Mówże, co masz mówić, a zaraz, albo cię wypędzę. —

B i e g a c z.

Kiedy tak, — to zaczynam.

G ó r n o g l ę b s k i.

Dalój. —

B i e g a c z.

Ale o czemże my to mówili.

G ó r n o g l ę b s k i.

Oto zacząłeś powiadać, jako Jadwiga.

B i e g a c z.

Ta tedy Jadwiga, sługa albo raczej po-

kojowa panny Julianny, córki JPana Domo-
wnickiego. —

Gornogłębski.

Idźże, znowu tytuły.

Biegacz.

A jużci trzeba ludzi nazywać tak, jak się
zowią. —

Górnogłębski.

Ta tedy Jadwiga. —

Biegacz.

Ta tedy Jadwiga. —

Górnogłębski.

Daléj. —

Biegacz.

Ta tedy Jadwiga powiedziała mi, iż jej
pani — ale bo się WPan będziesz gniewał.

Gornogłębski.

Nie będę.

B i e g a c z.

Ta tedy Jadwiga — powiedziała mi —
a mamże tak mówić, jak mi ona powiedziała?

G ó r n o g ł ę b s k i.

Słowo w słowo.

B i e g a c z.

Powiedziała mi tedy, iż jej pani WPana
cierpieć nie może.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Cierpieć niemoże? a dla czego?

B i e g a c z.

O co tego — to powiedzieć nie mogę.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Mów.

B i e g a c z.

A każesz WPan?

G ó r n o g ł ę b s k i.

Każę. —

B i e g a c z.

Powiedziała mi tedy, iż dlatego (ale to nie ja mówię, lecz panna Julianna.)

G ó r n o g ł ę b s k i.

Dobrze — panna Julianna.

B i e g a c z.

Powiedziała tedy panna Julianna, iż dla tego WPana cierpieć nie może; iż WPan jesteś — ale jakże ja to mam powiedzieć.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Mów śmiało.

B i e g a c z.

Iż WPan jesteś balamut.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Balamut?

B i e g a c z.

Tak jest, balamut — i więcéj jeszcze powiedziała.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Cóż takiego?

B i e g a c z.

Iż WPan jesteś filut.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Da — filut?

B i e g a c z.

I więcej jeszcze powiedziała.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Cóż?

B i e g a c z.

Iż WPan jest oszust!

G ó r n o g ł ę b s k i.

Daléj

B i e g a c z.

I więcej jeszcze powiedziała.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Cóż powiedziała?

B i e g a c z.

Iż WPan jesteś głupi.

Górnogłębski (goni go z kijem).

Łziesz — łotrze — bestyo — hultaju —
zdrajco —

B i e g a c z (uciekając).

Alboż to ja M. Panie — dla Boga —
Upamiętaj się WPan — Co WPan robisz?

Górnogłębski (siada).

Sluchajno także, mnie się wszystko зда-
je, iż to Waścin concept. Dowiem ja się
prawdy, a jeśli się najmniejszy fałsz po-
każe, twoje życie w odpowiedzi, idź precz.

SCENA DRUGA.

Górnogłębski sam (chodząc).

To nie podobna. Zapewne ten zdrajca, —
on to niby pod pokrywką prostoty. — Za-

czynam się ja na nim poznawać, — trzeba tu będzie. — Ale kto wie, może téż to albo podstęp, albo przywiązanie do kogo innego, a może i do Erasta. Ale choćby i tak było. Czyżby mogła być tak zaślepioną? tak z rozumu obraną? to być nie może.

SCENA TRZECIA.

Ten sam
Erast i Sasiadowicz.

Sasiadowicz.

Możnasz się spytać, jaki był cel rozmyślań WPana, którym przerwał. Siostrzeniec mój, ile jeszcze młody, a nauki lubiący, pragnąłby z tak uczonej konwersacyi korzystać.

E r a s t.

Konwersacya uczonych.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Cóż WPan rozumiesz przez ten wyraz uczonych?

E r a s t.

Rozumiem podobnych WPnnu.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Przepraszam, do bakalarstwa się nie zniżam. Mądrość jest na uczuciu i wyjaśnieniu. Chcąc zaś żądaniom WPana dogodzić, najprzód od tego zaczynam, iż duch wzniesiony nad atmosferę przeświadczeń, lubi przestronność.

S ą s i a d o w i c z.

I komunikuje się.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Tak jest. Właśnie teraz układał projekt, ułatwiający poznanie rzeczy, jednoczący narody, w powszechności karb wprowadzająca wiadomość.

Sąsiadowicz.

Jakież do tego środki, sposoby?

Górnogłębski.

Jeden — i łatwy.

E r a s t.

Jakiż przecie? —

Górnogłębski.

Zatrącenie języków.

E r a s t.

A jakże mówić?

Górnogłębski.

Naprzykład, brzmienie słów, mogłaby zastąpić modulacja tonów.

Sąsiadowicz.

A pismo?

Górnogłębski.

Partytury.

Sąsiadowicz.

Toby cały świat śpiewał.

Górnogłębski.

Wszystkie zwierzęta nie innym się sposobem tłumaczą; aże przyrodzenie nie dało słów, ani regul grammatyki, do nich stosować się należy. A tym sposobem, jako muzykalna melodia wszystkich zarówno w przymiot słuchliwy uderza, przyjęte do harmoniczných tonów i semitonów idee, oznaczałyby, co czujem wewnątrz, a całyby się świat na ten czas rozumiał.

E r a s t.

Ale szkoda by była tylu ksiąg wybor-
nych, tylu wynalazków uczonych, któreby
przezto zaginęły.

Górnogłębski.

Alboż to starożytność nadaje szacunek?

Sąsiadowicz.

Taką rzeczą wszyscy byli przedtem
w błędzie.

Górnogłębski.

MPanowie, nim owoc do pory przyjdzie,
najprzód drzewo wigoru nabywa, pomalu
się pączki otwierają, liść zieleni, kwiat
wschodzi, owoc zawija, ukazuje, wzrasta,
rumieni, smak bierze — dopiero po tem
wszystkiem nadchodzi dojrzałość. Rozu-
miecie WPanowie, co przez to rozumiem?

E r a s t.

Porównanie wcale poetyczne.

Górnogłębski.

Proszę nie szpecić wyrazów moich tak
podłym przydomkiem.

Sąsiadowicz.

Alboż to poezya?

Górnogłębski.

Nicość . . .

Sąsiadowicz.

A krasomówstwo —

Górnogłębski.

Dźwięk —

Sąsiadowicz.

Przecież kunszt wymowy zażywany był
do rzeczy najważniejszych i wszystkie wieki.

Górnogłębski.

Jużem na to odpowiedział, iż to wszyst-
ko, cokolwiek dawne, uprzedzenie i zabo-
bonne uprzedzenie —

SCENA CZWARTA.

Ciż sami i P. Krupska.

P. Krupska.

Cóż to, WPanowie, widzę dysputujecie?

S a s i a d o w i c z.

Mieliśmy rozmowę o naukach, które
Jegomość i gani i znosi.

P. K r u p s k a.

A Jegomość, powiadają, że uczony,
mądry.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Mniej niewiadomy, Mościa Dobrodziejko.

P. K r u p s k a.

To niby pokora.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Wyznanie —

P. K r u p s k a.

Czego?

G ó r n o g ł ę b s k i.

Istoty —

P. Krup ska.

Jakić?

Górnogłębski.

Istoty rzeczywistój.

P. Krup ska.

Gadajże WPan po polsku, bo ja prostaczka, chciałabym się czego nauczyć, a tych wykwintów nie rozumiem.

Górnogłębski.

A przecież uderzają w umysł.

Krup ski.

A czemże to uderzają?

Górnogłębski.

Dzielnością wewnętrzną.

P. Krup ska.

MPanie! powiadają, że WPan mądry; ja temu wierzę; ale jeżeli wszyscy WPanu podobni, tak gadają jak WPan, żal się Boże tej mądrości, której nikt zrozumieć nie może. Gadaj no WPan po ludzku. —

G ó r n o g ł ę b s k i.

Po ludzku! — ha — ha — ha —

K r u p s k a.

Z czego się WPan śmiejesz?

G ó r n o g ł ę b s k i.

Przepraszam Mścia Dobrodziejko — ale niektóre wyrazy . . .

K r u p s k a.

Pewnie moje, zdają się WPanu być godne śmiechu.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Broń Boże! Mścia Dobrodziejko — ale — ha — ha — ha — ha —

K r u p s k a.

A skończyłżeś WPan śmiać się?

G ó r n o g ł ę b s k i.

Nie, zaczynałem — bo tylko —

K r u p s k a.

Cóż to tylko?

G ó r n o g ł ę b s k i.

Oto właśnie przypomniałem sobie.

K r u p s k a.

Cożes to WPan sobie przypomniał?

G ó r n o g ł ę b s k i.

To do tego nie należy.

K r u p s k a.

Nauczże się WPan, Mści Panie mądry, odemnie choć prostaczki, że śmiać się komu w oczy, jest to grubiaństwo. Że kiedy się pytają, trzeba odpowiadać, że kiedy WPan masz dawać odpowiedź, masz ją dawać zrozumiale, że te wszystkie wykwintne słowa i dziwackie wyrazy, nic nie znaczą. Rozumiesz WPan? —

G ó r n o g ł ę b s k i.

Meia Dobrodziejko, znam ja to dobrze, jaki się należy respekt dla poci damskiej —
(patrzy na suknie).

P. K r u p s k i.

Ale cóż to za śliczna materya, kwiaty jak żywe — dobranie kolorów. . .

P. K r u p s k a.

Cóż to się znaczy Mpanie? Rozumiesz to Wpan, iż my białogłowy o niczem więcej nie umiemy gadać, tylko o kwiatkach - Affektacya ta Wpana, za pozwoleniem jego, wcale nic do rzeczy. Nie o kwiatkach tu była mowa, a rozumni ludzie powinni się wciąż trzymać zaczętej materyi . . .

G ó r n o g ł ę b s k i.
(niepostrzega Domownickiej, która wchodzi).

Ja też właśnie zacząłem był mówić o materyi . . .

K r u p s k a.

Wstydź się Wpan tego koncepcikę Mpanie mądry, a bardziej jeszcze tegoś się powinien wstydzić, że cię białogłowa napomina.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Pleć piękna mistrzować powinna.

K r u p s k a.

Mój Dobrodzieju! ani ja młoda, ani ja piękna, ani ja filozofka, ale dał mi pan Bóg rozsądek. Szanuję mądrych, ale takich, którzy prawdziwie są mądrymi.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Po czymże to Wpani Dobrodziejka poznajesz prawdziwie mądrych.

P. K r u p s k a.

Oto po tém Mpanie, kiedy się z swoją mądrością nie nadstawiają, kiedy z ochotą używają drugim, co sami wiedzą, kiedy nie rozumieją, że oni tylko rozumni, a wszyscy głupi; kiedy nie decydują o tym, czego czasem i sami niewiedzą, a nakoniec kiedy gadają tak, że ich można zrozumieć.

G ó r n o g ł ę b s k i.

Kiedy więc Wpani chcesz tego, żebyś mnie dobrze zrozumieć mogła, otoż i ja Wpani powiem, że ja takowe białe głowy

szacuje, które się ściśle trzymają obowiązków; które pielęgnowania dzieci, gospodarstwa, rządu domowego pilnują; które się w dysputy z mądrymi niewdają; które nie trawia czasu bez potrzeby nad naukami mniej im przyzwoitemi; które na fundamencie niby jakichś z książek nabytych wiadomości mężami rządzić nie pragną; — które mierzą ekwatory, a niewiedzą, co się dzieje w domu.

SCENA PIĄTA.

Ciż sami — Domownicka z córką do Górnogłębskiego.

Dziękuję Mpanie za ten piękny panegiryk plci naszej — Mpanie Górnogłębski, niebawiac długą odpowiedzią — precz z mojego domu — tego momentu.

Górnogłębski.

Ale Mcia Dobrodziejko.

Domownicka.

Proszę Mpanie — bo jeżeli się Waśc będziesz opierał. (Górnogłębski ucieka).

SCENA OSTATNIA.

Ciż sami — Domownicki.

Domownicki.

Cóż to takiego znaczy? spotkałem z wielkim pośpiechem uchodzącego ztąd pana Górnogłębskiego — ledwo mnie nie roztrącił.

Domownicka.

Oto ten bakalarz niedouczony — do takiego stopnia zuchwałości i impertynencyi przyszedł.

Domownicki.

Górnogłębski?

Domownicka.

Onże sam, ten bałamut — oszust — Wstydzę się tego i wyznaję to bez wstrętu

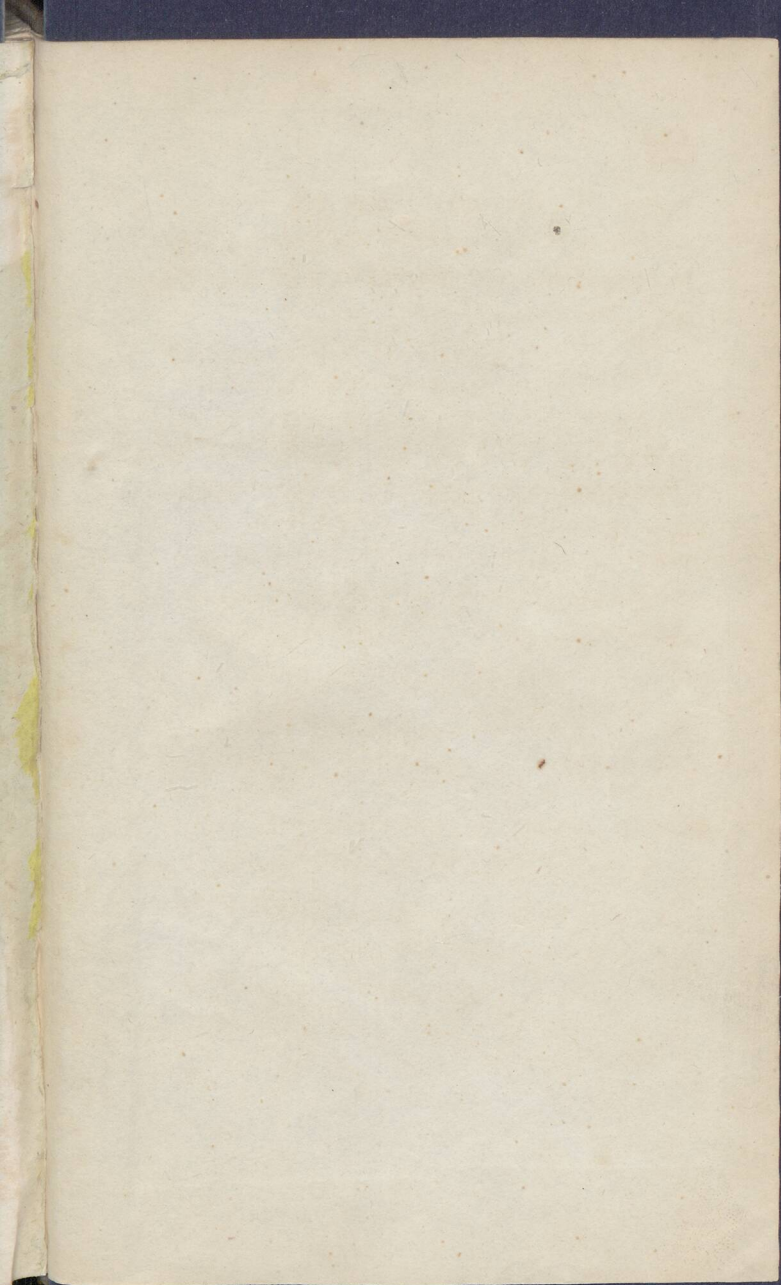
przed Wpaństwem, iżem się powieściom bajacza tego dała omamić. (do Erasta) Mpanie łączę zdanie moje z mężowskim, daj Wpan rękę córce naszój.

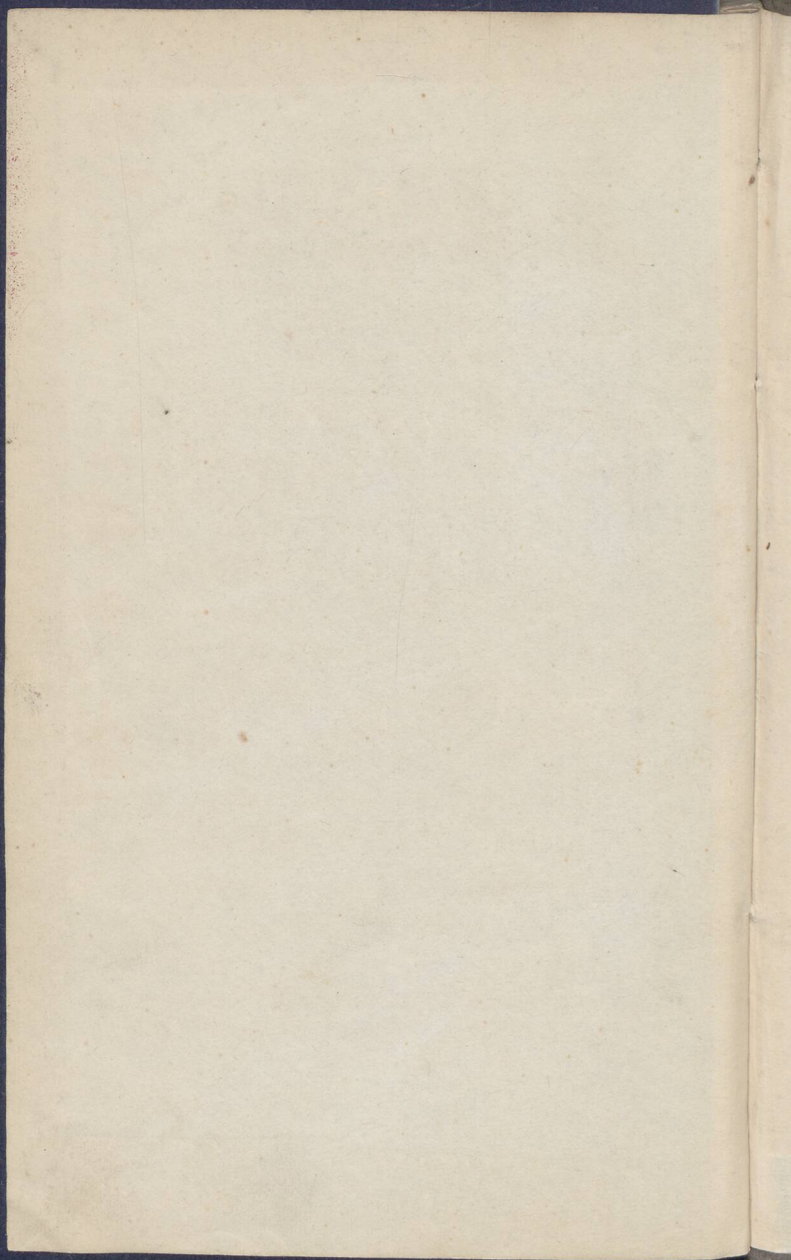
(upadają do nóg rodzicom).

Szczęśliwy przypadek otworzył mi oczy i poznaję teraz widocznie, że mędrki dma, ale prawdziwój mądrości zawsze towarzy-
szy skromność.

K O N I E C.







BOOKKEEPER 2008



BG0486171

